



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

EDGAR ALLAN POE.

KRUK

przełożył MIRIAM.

Raz w północnej głuchej dobie, gdy znużony siedział sobie
Nad księgami dawnej wiedzy, którą wieków pokrył kurz.
Gdy się drzemiąc chylił na nie, usłyszałem niespodzianie
Lekkie, ciche kołatanie, jakby u drzwi moich tuż.
„To gość jakiś”, wyszeptalem, „puka snadź przy drzwiach mych tuż,
Nic innego chyba już!”

Ach, pamiętam jakby wczora, była przykra Grudnia pora,
Głównie gasnąc cień rzucały, to blask jakichś krwawych zórz.
Tęskno-m czekał, by świt biały błysk, — bo księgi nie sprawiały
Ulgi w mej boleści stałej — odkąd znikł mój anioł-stróż.
Ma Lenora słodka, dziś ją zowie tak jej anioł-stróż —
Tu bez nazwy ona już!

Strach zdejmował mnie nieznany, pełny grozy niezbadanej,
Kiedy u drzwi zaszeleścił purpurowej kotar plusz;
By ukoić serca trwogę, rzekłem sobie: „pojąć mogę,
To podróżny — zgubił drogę — zbłąkał się wśród śnieżnych wzgórz,
W drzwi me puka, zabłądziwszy pośród białych śnieżnych wzgórz —
Tak — nikt inny chyba już!”

Tak nabrawszy mężstwa wstałem, z ugrzecznieniem mówiąc całem:
„Panie albo pani, błagam, nie obrażaj się, ni chmurz,
Bo zasnąłem ze zmęczenia, a twe lekkie uderzenia
W drzwi mojego tu schronienia nie zbudziły mnie; więc cóż
W tem dziwnego. żem nie słyszał?” Tu otwarłem drzwi — i cóż?
Ciemność wkrąg — nic więcej już.

Patrzac w mrok ten na wsze strony, stałem trwożny i zdumiony,
Rojąc mary jakich dotąd głąb' nie znała ludzkich dusz.
Lecz milczenie głuche trwało, ciszy nic nie przerywało,
Tylko lekki szepc nieśmiało drgnął: „Lenora!” gdzieś — tuż — tuż...
Tom ja szepnął — i „Lenora!” wyszemrało echo tuż,
Tylko to — nic więcej już.

Powróciwszy do pokoju w niesłychanym już rozstroju,
Posłyszałem znów stukanie, jakby gdzieś przy ścianie wzdłuż.
„Pewnie,” rzekłem, „coś kołacze w okno, wiatry snadź tułacze,
Zaraz, co to jest, zobaczę, nie bij, serce, ni się trwóż,
Wnet wyjaśnie tę zagadkę, serce, nie bój się, ni trwóż,
Tak — to wiatr, nic więcej już”.

Otworzyłem okno zatem; — szumiąc skrzydły, z majestatem
Wleciał ciężko kruk wspaniały, jakby czarny piekiel stróż.
Nie pozdrowił mnie ukłonem, okiem powiódł wkrąg zamglonem
I siadł z pańskim jakimś tonem pośród dwóch kamiennych kruż,
Na Pallady biuście przy drzwiach, pośród dwóch kamiennych kruż,
Usiadł tam — nic więcej już.

Ptak ten sprawił, że przy całem roznamietnieniu mem musiałem
Rozśmiać się z poważnej śmiesznie jego miny. „Tyś nie tchórz —
Widać — stary, chmurny ptaku, co — choć piór już ani znaku
Na twym czubie — szukasz szlaku wśród posępnych nocy mórz?
Mów, jak zwą cię na plutońskim brzegu czarnych nocy mórz?”
Rzekł kruk na to: „Nigdy już!”

Zadziwiłem się nielada, że ptak tak wyraźnie gada,
Choć-em jego odpowiedzi nie mógł pojąć ani rusz,
Boć to przyzna nawet dziecię, że nikt z ludzi dotąd w świecie
Nie oglądał chyba przecie ptaka przy drzwiach izby tuż,
Ptaka, co by przed nim usiadł na popiersiu przy drzwiach tuż,
Z takim mianem: „Nigdy już”.

Ale kruk ten z łysą głową wyrzekł tylko jedno słowo,
Jak ci, którzy w jeden wyraz całą głąb' wlewają dusz.
Potem milczał znów nieśmiele, pióro mu nie drgnęło w ciele,

Aż gdym szepnął: „Przyjaciele opuścili mnie wśród burz,
I on też ze dniem mnie rzuci, jak nadzieje pośród burz”, —
Ptak mi odrzekł: „Nigdy już!”

Zadziwiony niewymownie odpowiedzią tak stosownie
Wyrzeczoną: „Widać”, rzekłem „umie tylko to. A nuż
Dar to pana, co w niedoli poznał tylko to, co boli,
I w swe pieśni jał powoli echa kłaść przeżytych burz,
Aż pieśń każda cichła w zwrotce smętnej, jako echo burz:
„Nigdy, nigdy, nigdy, już!”

Lecz, że w rozsmętnieniu całym, wciąż się z kruka śmiać musiałem,
Przysunąłem miękki fotel nawprost ptaka, do drzwi tuż,
I usiadłszy nań co żywo, jałem myśli snuć przedziwo,
Co—to stare, chmurne dziwo, czarne jakby piekiel stróż,
Co—ten dawny ptak wróżbiarski, czarny jakby piekiel stół,
Myślał kracząc: „Nigdy już!”

W dumach, czego to oznaka, nie mówiłem nic do ptaka,
Który swe płonące oczy w serce wbijał mi, jak nóż.
Tak siedziałem, wsparłszy głowę o poręcz fioletową,
A blask lampy światło płowe lał na ich matowy plusz;
Ach, niestety, ona o ten fioletowy miękki plusz
Skroni swej nie oprze już!

W tem powietrzu się zamgliło, jakby wkoło się dymiło
Sto anielskich trybularzy, tchnących słodką wonią róż.
„Bóg na bóle, co trapiły serce, lek ci zsyła miły”,
Zawołałem, „zbierz swe siły i wspomnienia ciężkie zgłusz,
Wdychaj lek ten i wspomnienia o Lenory stracie zgłusz!”
Kruk zakrakał: „Nigdy już!”

„Zły wróżbiarzu!”, rzekłem, „ptaku, czy czarciego służy znak,
Czy cię szatan przysłał tutaj, czy pęd wściekły zagnał burz
Na brzeg smutku i boleści, gdzie żal tylko pustka mieści,
Gdzie noc każda zgrozę wieści—powiedz, błagam, wzrusz, się wzrusz,
Jest-że: jest-że balsam w Gilead?—powiedz, powiedz, wzrusz się wzrusz!
Rzekł kruk na to: „Nigdy już!”

„Zły wróżbiarzu!”, rzekłem, „ptaku, czy czarciego służy znak!
Przez to niebo, co nad nami, i przez Pana ziemi, mórz;
Powiedz duszy mej zbolącej, czy w Edenie szczęścia chwały,
Znajdzie dziewczę, które biały zwie Lenorą anioł-stróż,
Ten kształt święty, który słodko zwie Lenorą anioł-stróż?”
Kruk mi odrzekł: „Nigdy już!”

„Precz ztąd z tem pochmurnem czołem: ptaku-dyable!” wykrzy-
knąłem,
„Precz na burzę, na plutońskie brzegi czarnych nocy mórz!
Niech mi żadne czarne pióro nie przypomni, jak ponuro
Umiesz kłamać. No, ptaszuro! Rusz-że się z popiersia, rusz!
Precz! Dziób wyjmij z mego serca i rusz się z nade drzwi, rusz!”
Kruk mi odrzekł: „Nigdy już!”

I kruk wcale nie odlaty, jakby myślał siedzieć lata
Na Pallady białej przy drzwiach pośród dwóch kamiennych kruż;
Krwawo lśni mu wzrok ponury, jak u dyabła, u rzes chmury,
Światło lampy rzuca z góry jego cień na pokój wzdłuż,
A ma dusza z tego cienia, co podłogę zaległ w zdłuż,
Nie powstanie nigdy już!

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Radziejowski zpod Beresteczka wprost nie je-
chał do Warszawy: zatrzymał się w Kryłowie,
próbował dowiadywać się do dóbr po Kazanowskim
spadłych na żonę, któremi czuł się w prawie
zawadywać; ale tu wszędzie już znalazł panów
Śluszków, ich rządzców i kommissarzy umocowa-
nych, przeciwko którym chyba siły zażywałyby
musiał.

Wszystko to zwiastowało wojnę, właśnie w mo-
mentcie, gdy on ją królowi też zmuszonym był wy-
powiedzieć.

Opieki Maryi Ludwiki nie był pewien; stosun-
ki z nią, od niejakiego czasu ostygły. Skargi
króla na Radziejowskiego, poparte doniesieniami
innych królowej wiernych, odsłoniły przed nią
bezwzględne zabiegi podkanclerzego. Owa potwarz
ostatnia, obwinienie o przekupstwo, oburzyło
Maryą Ludwikę.

Dosyć uroczyście wjechał król do stolicy, cho-
ciaż inaczej może spodziewał się do niej powra-
cać.

Wprost najpierw z całym dworem zajechał
przed kościół S-go Jana, gdzie na niego duchow-
niństwo, senatorowie, królowa i mnóstwo zgromadzonego ludu oczekiwało.

Po odśpiewaniu pieśni dziękczynnych razem
z Maryą Ludwiką udał się król na pokoje, gdzie
znowu powinszowania, życzenia, pochlebstwa po-
sypały się do stóp zwycięzcy, który je przyjmowa-
wał tak, zasępiony, jakby się nie czuł ich god-
nym.

Królowa pierwsza dostrzegła w mężu to
zniechęcenie, które rosło, gdy wielkie czyny, bo-
haterstwo i sławę jego wynoszono. Ani na chwi-
lę lice mu się nie rozjaśniło, a kilka słów swo-
bodniejszych, które się z ust wyrwały, tyczyły się

rzeczy drobnych i wypadków nie nieznaczających.
Po tem przyjęciu urzędowym królestwo oboje
znaleźli się samnasam. Jan Kazimierz ode-
tchnął.

Pierwsze jego wyrazy były wybuchem długo
tłumionego żalu. Począł się boleśnie uskarżać
przed żoną na niewdzięczność ludzi, na zniewie-
ściałość szlachty, która umiała krzyczeć, ale bić
się nie chciała.

— Powracam, nie jako tryumfator, choć na po-
zór zwyciężyliśmy, ale jako niewierzący już
w nic i powątpiewający o przyszłości.

Marya Ludwika, która słuchała, nie okazując
wcale zdziwienia, zamknęła mu wkrótce usta.

— Wszystko to ja wiem i czuję tak dobrze,
jak i ty — rzekła — ale ani ja, ani ty nie powin-
niśmy okazywać, że się za upokorzonych i pogne-
bionych uznajemy. Walczyć musimy do końca.

Król wybuchnął znowu.
— Ten łotr Radziejowski, ten zjadły wróg
mój, wiesz co rozpuścił za wieści?

— Radziejowski niegodziwym jest człowiekiem
— przerwała królowa — ale ta nieszczęsna
żona, którą się ty opiekujesz, daje mu moc nad
tobą.

Jan Kazimierz cisnął ramionami.

— I wy wierzycie temu! — zawołał.

— Mówię co słyszę i widzę — sucho ciągnęła
dalej królowa. — Radziejowskiego potrzeba czemś
ugłaskać, jest to zuchwalec nieulekniony. Da-
licie mu pieczęć i prawo nieodstępowania was:
nie ustąpi też i doje do żywego.

— A! zobaczmy — odezwał się król po-
sępnie.

— Sejm się zbliża — mówiła dalej Marya Lu-
dwika — od niego zależy dalsze prowadzenie
wojny, obrona kraju, wszystko. Radziejowski
poruszy kraj, ściągnie posłów warcholów, za-
burzy, nie zrobić nie da.

Od niego można się wszystkiego spodziewać.

— Ty masz nad nim przewagę — dodał król —
użyjesz jej i swego wpływu.

— Jeżeli nie będzie zapóźno — szepnęła kró-
lowa zadumana.

Właśnie, prawie gdy się to działo na zamku,
podkanclerzy już w Radziejowicach uwiadomio-
ny o opustoszeniu pałacu, biegł do Warszawy
wściekły, z odgrózkami na ustach. Wszystkich
ludzi, dwór, czeladzie, jakie tylko mógł zebrać,
prowadził z sobą zbrojne.

Wjazd jego na te puste dziedzińce, do murów
poodzieranych ze wszystkiego, gdzie ani usiąść

nie było na czem, ani spocząć, wprawił go w szal
i wściekłość.

Obie ręce ściśnięte przykładł sobie do czoła,
jakby z niemi się chciał rzucić na żonę, i krzy-
czał:

— Wojna więc — otwarta wojna! ale nierówne
siły. — Radziejowski pokaże, co może, mością pani:
nie jest on ani sam, ani bez broni!

Co chwila na pytania rzucane, odpowiadano
mu tem, że zabrano wszystko. W kuchni nie
było w czem jeść zgotować, w stajniach stały
żłoby puste, cekhaus był cały wypróżniony.

Jak obłąkany latał po izbach i stawał, znaj-
dując tylko ślady po sprzętach — nigdzie nic. Na-
wet wytworna kapliczka domowa podkanclerzy-
ny ze swemi relikwiami i posążkami, rozebrana
była i zabrana.

Trzeba było naprędce zapożyczać się u mies-
zczan, a na całą noc słać do Radziejowic, aby
ztamtąd rzeczy pierwszej potrzeby pościagać.

Gdy mu mówiono, że pałac był odarty, wyo-
brażał sobie, iż tylko najkosztowniejsze zabrano
sprzęty i precjoza, nie znalazł nic.

Człowiek tego, co on temperamentu, musiał do
najgwałtowniejszych uciec się środków. Nie
chciał przypuścić, ani tego, aby mu żonę miał
rozwód odebrać ani by on — przez nią był poko-
nany, upokorzony, w oczach ludzi.

Nazajutrz rano z wrzawą i gorączką podkanc-
lerzy zuchwale wpadł do króla, domagając się
sprawiedliwości.

Zimno odpowiedział mu Jan Kazimierz, że
sprawy nie zna i że do niej mieszać się nie chce.
Tu zresztą nie cywilne, ale duchowne władze
rozstrzygały.

Radziejowski tym razem stanął przeciw króla
z nigdy jeszcze nie objawionem tak gwałtownie
zuchwalstwem. Groził, szydził, a gdy król po-
czął go zbywać milczeniem, wybiegł bez poże-
gnania oszalały.

Wprost od króla udał się do nuncjusza. Włoch
być musiał przygotowany na jego przyjęcie.
Wielka powaga posłannika Stolicy Apostolskiej,
jego moc, zmuszały Radziejowskiego do po-
kory.

Włoch, łagodny i słodki, pełen dobrotliwego
współczucia, przyjmował go z największą uprzej-
mością.

Podkanclerzy począł od zażaleń na całe po-
stępowanie żony, a nie śmiać wyraźnie obwinić
króla, dał się domyslać jego winy.

Nuncyusz wcale tego rozumieć nie chciał.

— Żona powinna powrócić do mnie. Wasza Eminencya rozkażecie klasztorowi, aby mi ją wydał. Niema żadnego powodu do rozłączenia się, a ja go nie chcę i nie dopuszczę.

Nazajutrz dał mu się wypowiedzieć, wyskarżyć, ile chciał; słuchał z bezprzykładną cierpliwością.

Wśród najgorętszego rozwodzenia się nad gorszącym postępkiem kobiety Włoch dał znak, z najzimniejszą krwią, aby podano—czekoladę. Chciał nawet napić się podkanclerzego, który szorstko odmówił, co nie przeszkodziło nuncyuszowi z wielką gracyą, białą rączką przyozdobioną przepysznym pierścieniem ze szmaragdem, maczać biszkopty w wonnym napoju i pożywać ich z błogiem zadowoleniem.

Skończył naostatek podkanclerzy, nuncyusz filiżankę postawił, usta otarł i począł z uśmiechem:

— Ubolewam sercem całym, nad nieszczęściem jakie was, dostojny panie, dotyka radbym z duszy zaradzić temu, ale kościół w takich razach zmuszony jest postępować z nadwyzwyczajną oględnością. Klasztor i kościół tych, którzy pod jego skrzydłami szukają ochrony i opieki, nie mogą odpychać, ani wytrącać. Pani podkanclerzyna pozostanie u Klarysek przynajmniej, dopóki w procesie rozwodowym się nie rozpatrzymy.

— Ale ja rozwodu nie dopuszczę! — zawołał Radziejowski.

Nuncyusz zmilczał. Tu, jak z królem, odgrzać się nie było podobna, a zuchwalstwo mogło tylko zniechęcić księżęcia kościoła.

Po godzinnych, próżnych naleganiach i przekonywaniach Radziejowski musiał z niczem ustąpić.

Rozszalały, niepowściągnięty się, gdy go gniew opanował, tegoż dnia wydał się z tem, że furty klasztornej szanować nie myśli, i ma dosyć ludzi, ażeby ją wyłamać, a żonę odzyskać. Ruch pomiędzy jego służbą zwrócił oczy, miano też baczność na każdy ruch jego i słowo.

Pani podkanclerzyna dowiedziała się o tem w klasztorze i strwożona dała znać na zamek.

Król bez namysłu kazał ludziom ze swej gwardyi osadzić natychmiast furty klasztorne. Sądzo no jednak, że tego starczy, aby Radziejowskiemu odebrać ochotę napaści.

Tymczasem, czy nie wiedział, że gwardya w klasztorze stała, czy sobie to lekcewżył, podkanclerzy nazajutrz z gromadą zbrojnych ludzi zjawili się u bramy.

Zuchwale dopominał się wydania żony; odpowiedziano mu, że podkanclerzyna postanowiła tu pozostać i nie wyjdzie. Naówczas Radziejowski, krzyknawszy na ludzi, rzucił się na bramę, ale w tejże chwili gwardya królewska z muskietami stanęła naprzeciw, zagradzając mu drogę, a dowódca jej krzyknął wcale niegrzecznie, iż ma rozkaz siłą odeprzeć wszelkie targnięcia się na spokój i klauzurę klasztorną.

Radziejowski, klnąc i piniąc się, dał znak ludziom do odwrotu.

Tłumy, ściągnięte ciekawością, śmiechem szyderczym odcinającego podkanclerzego ścigały. Powrócił do pustego pałacu, gdzie na niego przyjaciel Dębicki oczekiwał.

Wchodząc do sali, w której znajdował się podczaszy, Radziejowski drżał i mówić nie mógł.

Staął w końcu przed Dębickim i, palec na palec złożony do przysięgi, podniósł ręce w górę.

— Słuchaj i bądź świadkiem—zagrzmiał głosem ogromnym—przysięgam zemstę... jej i królowi. Znajdź mnie teraz Niemiec ten na każdym kroku, nieodstępny, przypiję się do niego jak kleszcz, ssąc go będę jak pijawka. Przysięgam niegdyś Zebrzydowski, że Zygmunta królestwa pozbawi; ja mu zedrę koronę z głowy,—życie mu zatruję... Ząb za ząb...

Dyszcząc padł na ławę.

— Zbliża się sejm: Dębicki, na tobie polegamy. Spędzimy mu posłów, którzy go ścigać i przesładować będą, wyrwiemy mu z rąk władzę... Zapłaci mi za wszystko.

Radziejowski małym mu się wydaje; pokaże iż ma więcej siły w tem królestwie, niż on...

Drogo będzie musiał opłacić swe amory...

Głos mu drżał.

— Wiesz—rzekł—co czynić mamy, a ja, pójdę go jeść. Będzie mnie miał każdej chwili, jak groźbę nieustanną na oczach. Nie dam się odpedzić—nie dam się przejednać.

Podniósł pięść do góry.

— Poznasz, co to wojna ze mną!...

IX.

Podkanclerzyna pozostała w klasztorze; a wojna między królem a Radziejowskim poczęła się tak nieubłagana, jak zapowiadała.

Miała ona szczególny, odrębny, wyjątkowy charakter i znamię, które jej nadawał zjadły, ale obrachowany Radziejowski. Prześladowanie Jana Kazimierza zależało całe na tem, iż podkanclerzy go nie odstępował po całych dniach. Wcisnął się, wchodził gwałtem i stał na oczach. Niekiedy tylko słowo, jak zjadliwe ukąszenie, wyrывało się z ust jego.

Przynosił z sobą zwykłe, co tylko króla dotknąć mogło i zmartwić; zabierał głos przy obcych w ten sposób, aby mu okazać lekceważenie.

Potrzeba było cierpliwości nadwyzwyczajnej i poczucia godności swej, aby milczeniem zbywać zaczepki i wzgardą je odpłacać. Lecz męczarnie trwały czasem niemal po całych dniach, godzinami. Stawało się to zabójczem dla Jana Kazimierza, który wytrzymał nie był w niczem i lękał się, aby w chwili rozdrażnienia nie dopuścił do otwartego wybuchu.

Urząd podkanclerski, chociaż król unikał posługiwania się małą pieczęcią i zamiast niej prywatną swoją listy pomniejsze i urzędowe nawet akta korroborować kazał—dawał prawo Radziejowskiemu do tego natręstwa złośliwego.

Odpychany widocznie, stawał się tylko jeszcze bardziej naprzykrzonym; słowem: była to walka, która uwłaczała godności monarchy. Z jednej strony niemal bezsilność, z drugiej zuchwalstwo bez granic.

Oprócz tego podkanclerzy, wychodząc z zamku, wynosił z sobą szyderstwo i najzłośliwsze tłumaczenia każdego króla postępków. Ani publiczne czynności, ani życie prywatne, nie uchodziło jego oka. Król wiedział, że na prowincjach Radziejowski z pomocą Dębickiego, Zamojskiego jednego i kilku swych przyjaciół, gotował na przyszłym sejmie, najstraszniejszą przeciwko królowi opozycyą.

Marya Ludwika, dla której podkanclerzy zachował pewien rodzaj poszanowania, udając politowanie nad jej losem, — próbowała napróżno swoim wpływem go poskromić. Zaciętość przeciw królowi nie miała granic. Jan Kazimierz zrozpaczony niemal, wołał czasem—że dałby co by kto zażądał, byle go od podkanclerzego uwolniono.

W tym czasie zmarł właśnie stary, sędziwy, zasłużony hetman Potocki; pozostawały po nim do rozdania: buława wielka, Kasztelania Krakowska, i Starostwo Lubelskie.

Ni mniej, ni więcej, Radziejowski począł wołać i głosić, że mu się buława należała, do której ani zdolności, ani zasług, ani najmniejszego sobie rościć nie mógł prawa.

Było to oburzającym.

Przy tej władzy, jaką zapewniała buława wielka koronna, oddanie jej nieprzyjacielowi znaczyło zdanie się na jego łaskę lub niełaskę—zaprzeczanie się w niewolę.

Radziejowski tak rachował na to, iż króla nastraszył, że mu się stał groźnym, iż śmiał na hetmańską buławę tu rachować.

Król na samą wzmiankę rzucił się i krzyknął:

— Gdybym życiem miał to przypłacić,—nigdy w świecie!

— Wszyscy też bliżej Jana Kazimierza stojący, królowa wreszcie, której wpływ zawsze był stanowczym, oburzali się na to wymaganie, zowiąc je szalonym.

Jednakże potrzeba było zapewnić się, że sejm nie będzie burzliwym i bezpłodnym, i że Radziejowski przestanie ścigać króla.

Jan Kazimierz powtarzał, że żąda tylko nie mieć go zawsze na oczach, za sobą i przy sobie. Marya Ludwika więc wniosła, ażeby, wykupując się, dać wrogowi jedno z największych dostojenstw w Rzeczypospolitej: Kasztelanią Krakowską i Starostwo Lubelskie.

Ofiara to była istotnie olbrzymia, którą w innych razach największymi zasługami zdobywać było potrzeba. Dać takiemu warchołowi kasztelanią—było niemal uznać się zwyciężonym.

— Dam mu kasztelanią—odparł król — byłem go na oczach nie miał, byłem go nie widział; niech bierze Starostwo Lubelskie, nie uczynił nic, aby na nie zarobić; zmusił mnie, jak Cerber, do zatkania sobie paszczy: niech precz idzie tylko!

Stała się rzecz nie do wiary. Kanclerz Leszczyński miał sobie poleconem oznajmić to Radziejowskiemu.

Podkanclerzy, który powinien był przyjąć łaskę królewską z wdzięcznością zapewne wnosząc, iż groźnym był tak, że wszystkiego, co chciał, mógł wymagać, odparł lekceważąco:

— Zdało mi się, że na buławę zasłużył, i ona mi należy; kasztelanii—ani pragnę, ani przyjmę.

Leszczyński, który wcale pyszałka szalonego nie szczędził, mimowoli się przeżegnał.

— Nie chce mi się własnym uszom wierzyć—rzekł. Jakież to zasługi panu podkanclerzemu do buławy dają prawa? Byłoby to z pokrzywdzeniem innych... Król nigdy tego uczynić nie może, bo-by sądzono, że się wacpana nastraszył.

Podkanclerzy odparł zuchwale:

— Wolno sądzić jak się komu podoba, ale chce-li król, aby mógł i o sejm i o wojsko i o pobory spokojnym być — niech mi da buławę, inaczej... inaczej ja nie ręczę, czy kto wzburzoną szlachtę poskromić potrafi.

Kanclerz nie chciał się w rozprawę wdawać; spytał tylko:

— Rozważyłeś to, panie podkanclerzy? mam tę odpowiedź królowi JMei dać w jego imieniu?

— Nie cofam jej i nie cofam—zawołał dumnie Radziejowski—albo buława, lub—nie.

Zdumienie było wielkie, król osłupiał; Marya Ludwika posłała sekretarza Desnoyers, aby do niej prosił Radziejowskiego.

Nadwyzwyczajna pobłażliwość i dobroć króla, zamiast opamiętać szaleńca, uczyniły go stokroć śmielszym. Śmiał się i szydził, a Dębickiemu zaręczał, że buławę dostanie.

Gdy się to rozeszło pomiędzy obecnymi w Warszawie senatorami, wierzyć nie chcieli zrazu, aby podkanclerzy takiego szaleństwa się dopuścił. Miano za złe Janowi Kazimierzowi powolność, a co gorzej, przypisywano ją—łasce zbytycznej dla pięknej podkanclerzyny. Król, zamiast sobie tem poradzić—szemranie obudził. Buława wielka w rękach Radziejowskiego po prostu śmiech wzbudzała.

Na zawołanie królowej z południa stawił się podkanclerzy do niej, ale wszystko to razem czyniło go coraz zuchwalszym tylko. Obawiano go się—to było jawne—zatem trwogę powinien był wyzyskać.

Królowa zdobyła się na uprzejme dawnego krajczego swego przyjęcie, który z butą wielką się stawiał, i jakby rozgorączkowany.

Poczęła łagodnie od oznajmienia mu o Kasztelanii Krakowskiej i Starostwie Lubelskiem.

Wystąpić jawnie z żądaniem buławy nie wypadało Radziejowskiemu; miał już przygotowane tłumaczenie.

— Bardzo jestem wdzięczny J. Król. Mości — rzekł z ukłonem szyderskim — ale czując, że nie mam łaski, że to jest tylko środek pozbycia się nieznośnego natręta: nie chcę być winien godności tej... wstrętomu do mnie. Król JMości powinien-by nareszcie przekonać się, że w teraźniejszych okolicznościach nie obejdzie się beze mnie.

Marya Ludwika poczęła go łagodnie namawiać na przyjęcie najpierwszego krzesła w senacie Rzeczypospolitej. Podkanclerzy dziękował.

— N. Pani — rzekł — nie przyjmę go... to pewna... nie mogę i nie przyjmę.

Dość długo na różny sposób usiłowała go zmiekczyć królowa, — napróżno; wszystko się rozbiło o twardy upór i zapewnienie, że kasztelanii nie chce i nie weźmie.

Nikt nie śmiał o tem poczwarnem wzgardzeniu łaską króla, donieść mu. Jan Kazimierz wierzył w to, że Radziejowski weźmie krzesło to ze starostwem i naostatek uwolni go od przebywania na dworze; królowa nawet wahała się wyznać przed mężem, że i ona prosiła napróżno. Probowala jeszcze przez rozmaite wpływy działać na podkanclerzego; lecz im więcej na niego nalegało, tem jemu zdawało się, że był niezbędniejszym i groźniejszym.

Na wszystko odpowiadał dumnie:

— Nie da mi buławy: nie chcę nic!.. rozprawimy się na sejmie!

Na zapytanie króla Marya Ludwika musiała wreszcie oznajmić mu, że — podkanclerzy pogardził Kasztelaną Krakowską i przyjął jej nie chciał.

Zdawało się to tak nieprawdopodobnem, iż Jan Kazimierz nie zrozumiał odmowy w początku; królowa musiała mu, nie nie tając, opowiedzieć swą rozmowę z Radziejowskim, swe starania i — pogardliwą odprawę, jakiej doznała.

Zbladł król z tłumionego gniewu.

— Otóż — rzekł — czem jest w Polsce panujący i jaka moc jego!

Rozpostarł ręce i zamilkł.

Wlokło się tak przez dni kilka, w ciągu których Radziejowski wpadał na pokoje z butą ogromną, stawał przed królem, w oczy mu prawil groźby, nie w swem imieniu, ale jako przepowiednie sejmowe, i nie dawał spoczynku Janowi Kazimierzowi.

Najłagodniejszy charakter, najbardziej znużony i osłabły człowiek, ustępuje przecież do pewnej granicy tylko. Podkanclerzy nie zrozumiał tego, że przebrał miarę.

Dębicki ośmielał się zeicha mu podszeptować:

— Możecie się pochwalić tem, co nierychło drugi raz w tej Rzeczypospolitej komu się przygodzi — postponować Kasztelaną Krakowską!

— Wszystko lub nie! — odparł zuchwale podkanclerzy — albo teraz lub nigdy. Wiem co i dla czego czynię. Złamię go — nie ustąpię.

Tymczasem ze strony króla i oferty ustały i wszelkie do przejednania kroki. Radziejowski cisnął się na pokoje; Jan Kazimierz nie patrzył na niego, a wakanse po hetmanie zostały rozdane.

Podkanclerzy szalał niemal.

— Zobaczmy — powtarzał, naradzając się z Dębickim — nadchodzi sejm: rozprawimy się z królem J. Mością... rozprawimy.

Wszystko wróciło do dawnego trybu. Król nie patrzył na podkanclerzego, a Radziejowski zajadł mu doskwierał.

Sprawa z podkanclerzyną ciągnęła się bez nadziei rozwiązania rychłego. Radziejowski tymczasem w zajętych pałacu po Kazanowskim rozgospodarowywał się, jak w domu.

Sprowadził kilka działek, posadził małą żalę, jakby przeczuwał, że go ztąd wyprzeć zechcą; ściągnął sprzęty z Radziejowic.

Wszystko to czyniło się umyślnie, ostentacyjnie, jawnie, aby tem drażnić podkanclerzynę, której donoszono o każdym meża kroku.

Życie jej w klasztorze, mimo całej rezygnacji stawało się w końcu nieznośnem; do innego była nawykła. Tu nikt jej nie odwiedzał, nie miała innego towarzystwa nad litościwe, ale wcale światła nierozumiejące zakonnice. Dnie stawały się długimi, nabożeństwo ich całych zająć nie mogło. Podkanclerzyna zalewała się łzami; nie było jednak ratunku, bo o zgodzie z mężem słuchać nie chciała. Radziejowski zaś przeciwko żonie tem zacięciej powstawał, że próba zagarnięcia jej majątności nie powiodła się.

Bracia podkanclerzyny, szczególnie Bogusław, starszy, czuwal nad siostrą i gotowi byli przyjsć jej w pomoc.

Bogusław, który może zbyt wiele na króla i jego protekcją rachował, oznajmował przybycie

swe na sejm, dodając w listach do siostry, że gromadkę Litwinów z sobą przyprowadzi.

Odgróзки Radziejowskiego z jednej strony, z drugiej Słuszków przechwałkami się równoważyły. Rozdrażnienie rosło. Podkanclerzy miał jakieś przecucie, że mu pałac, który zagarnął, Słuszkowie odebrać zechcą; ale mając w nim parę działek i trochę ludzi, nie przypuszczał, aby siły użyć winno, tuż pod zamkiem i pod bokiem królewskim.

Zwlokło się tak do początku następnego roku, i Bogusław Słuszką przybył do Warszawy z bratem Zygmunt.

Spotkanie się z siostrą, która cała we łzach wyszła ich do furty powitać, obu młodych paniczów do najwyższego poruszyło stopnia.

Zdało im się, że gdy król gwardyą swoją z klasztoru siostry ich nie dał zabrać mężowi — inne też kroki dla wyswobodzenia jej i mienia nie zostaną im uaganione.

(Dokończenie nastąpi).

„Dziady“ a „Werther“,

ZARYS PORÓWNAWCZY

przez

Edwarda Schnobricha.

(Dalszy ciąg. — Ob. N. 35).

Ubośtwiana przez Goethego Karolina nie mogła się uskarżać na pokrzywdzenie w utworze literackim. Jeżeli na Alberta, który odpowiada w rzeczywistości Kestnerowi, zawiele cienia rzucił poeta, to znowu kreśląc charakter Karoliny chciał ją ukazać w uroczym oświeceniu. Wszystkie przecież owe przymioty, któremi ją w *Wertherze* wyposażył są najzupełniej prawdziwemi. Panna Buff posiadała rzeczywistość i poczucie piękna i zamiłowanie do muzyki i zdolność do rysunku. Atmosfera, w jakiej się obracała Karolina, była napojona temi żywiołami estetycznymi, które nas nieprzyzwyczajenie pociągają. Pod pierwszym wrażeniem poznania Lotty Werther taki sąd o niej wydaje:

„Tyle prostoty przy takim rozsądku, tyle dobroci przy takiej sile charakteru, a spokój duszy w życiu zewnętrznym i w działaniu.“ Słów tych nie należy przypisywać samej tylko rozgorączkowanej wyobraźni szczęśliwego kochanka. Tak samo kult Klopstocka, w którym spotykają się w uczuciach swoich Werther i Karolina jest rysem wziętym z rzeczywistości. „Ona stała na ręce swojej oparta, a jej wzrok przenikał okolicę, patrzyła w niebo i na mnie. Widziałem jej oko pełne łez; położyła rękę swoją na mojej i rzekła:

— Klopstock! Spotkanie się Werthera na balu w Volpertshausen (list z 16 Czerwca) jest historycznem. Scenę gospodarczej idylli, gdy Karolina rozdziela chleb między swe małe rodzeństwo, uwiecznioną rysunkiem Kaulbacha, można uważać za autentyczną. Wrażenia, jakich doznał Goethe od Karoliny z samego początku były nader korzystne. Pomimo przebytych cierpień pisze poeta o tym balu: „Zły to był geniusz ten, który mnie do Volpertshausen zaprowadził: a przecież był on dobrym dla mnie geniuszem. Czasu w Wetlarze nie mogłem lepiej przepędzić.“

Goethe uwiecznił miejscowość tę w swoim *Wertherze*. Piękne okolice Wetlaru działały potężnie na wyobraźnię młodego poety. „Powstało — powiada w *Wahrheit und Dichtung* — dziwne pokrewieństwo z poszczególnymi przedmiotami natury i szczerą harmonią, zgoda z całością, tak, iż każda zmiana, czy to miejscowości i okolic, czy pór dnia i roku lub cokolwiek mogło się zdarzyć, uderzało mnie bardzo silnie.“ W liście z dnia 12 Maja daje wyraz swemu uwielbieniu natury, a szczególnie krynicy Wildbach, która była ulubionem jego miejscem spoczynku: „Nie wiem: czy ludzkie duchy krążą około tej okolicy, czy ciepła niebiańska fantazyja znajduje się w mo-

jem sercu, że mi tu wszystko wokoło staje się tak rajskiem. Jest tu zaraz przed tem miejscem zdroj. zdroj, do którego jestem przykuty, jak Meluzyna ze swemi siostrami. Schodzisz na dół małym pagórkem, i znajdujesz się przed sklepieniem, do którego prowadzi ze dwadzieścia stopni, gdzie w dole najczystsza woda wytryskuje ze skał marmurowych. Murek, który okala studnię, wysokie drzewa dookoła, chłód orzeźwiający, — wszystko to ma w sobie coś pociągającego, i coś groźnego zarazem. Niema dnia, żebym tam godziny całej nie przesiedział. Przychodzą dziewczęta z miasta i czerpią wodę — najniewinniejsze i zarazem najpotrzebniejsze zajęcie; niegdyś spełniały je same córki królewskie i t. d.“

Okolicę, w której leżał ów zdroj czy studnia, kilkakrotnie Goethe wysuwa na honorowe miejsce. W późniejszych czasach przeszła ona w kult powszechny pielgrzymów, odwiedzających tłumnie wszystko, co się z pamięcią poety łączyło. Miasto samo jest nieprzyjemne, ale natura wokoło niewypowiedzianie piękna. Pod miastem jest ogród bardzo prosty, bez nadzwyczajności, ale czujemy zaraz na wstępie, że plan jego kreślił uczuciowy amator, który chciał tu hojnie używać piękna natury. Zwano ten ogród — naówczas „Meckelsburg“, — a to ztąd, że go założył prokurator komory rządowej Meckel. Niebawem wyrugowało inne miejsce ogród przez Goethego uwiebiany; była to wieś Garbenheim, którą poeta nie bez powodu nazwał: „Wahlheim.“ Małe, nie przedtem nie znaczące drobnostki wcielił on do swego romansu. Młoda kobieta, z której dziećmi tak chętnie przebywał, wistocie była córką bakałarza i nazywała się: „Bamberg.“ Herbst opowiada, że znał ją w swoich latach chłopięcych, jako sędziwą staruszkę, pod nazwiskiem „Alte Bambergerin“; umarła ona w r. 1834, już 90 letnia.

Jak z własnych wrażeń poety utworzył się dokładny obraz miejscowości i niektórych osób, tak też i główną pobudką do napisania *Werthera* był tragiczny koniec Jerusalema, którego Goethe znał osobiście. Ogłębokości wrażenia, jakie śmierć nieszczęśliwego młodzieńca wywarła na Goethym, świadczy list jego do Kestnera. „Nieszczęśliwy Jerusaleme! — Wiadomośc była dla mnie straszną, niespodziewaną. Było to okropnem: do najprzyjemniejszego daru miłości ta wiadomość, jako dodatek. Nieszczęśliwy! Lecz szatany, jakimi są haniebni ludzie, którzy karmią się tylko plewą próżności, a rozkosz bożków posiadają w swych sercach, a każą o służbie bożków i przeszkadzają dobrej naturze i wyniszczają siły — oni są winni w tem nieszczęściu, w naszym nieszczęściu; niech ich dyabli porwą, ich bracia!“ „Biedny chłopiec! Gdy powracał z przechadzki i jego spotkałem w świetle księżycowym, powiedziałem: „Ten chłopak się kocha!“ Karolina musi sobie przypominać, że się na to uśmiechnęła. Bóg to wie: samotność podkopala jego serce.“

Ponura postać Jerusalema dostarczyła Goethemu wielu motywów do romansu, którego koniec został napisany na podstawie notatek przysłanych przez Kestnera. Niektóre części tego sprawozdania dosłownie tylko przepisał poeta. Jak silnie zajmowała go śmierć Jerusalema, okazuje to list pisany z Darmstadtu dnia 20 Listopada 1772 r. „Adressuj Pan listy wprost tutaj, nadeslij mi wiadomości o śmierci Jerusalema.“

Nie ulega wątpliwości, że Kestner nie był tak pospolitą figurą, jaką jest Albert w *Wertherze*. Względy artystyczne kazały Goethemu Werthera ukazać w przyćmieniu. W drugiej redakcyi zmienił poeta wzmiankę o wymierzaniu policzków przez Karolinę, co w pierwszym wydaniu nie miało gorszylo spokojnych małżonków. Albert gra już teraz daleko lepszą rolę, aniżeli pierwiej. I tak: w pierwszej redakcyi żonę swoją upomina w sposób dość rubaszny, aby obcowaniu z Wertherem inny nadała kierunek, w drugim już mąż milczy zupełnie o tym stosunku. Tak samo ze względów artystycznych potrzeba było, aby Werthera pogarda rzeczywistości karmiła się tem przekonaniem, iż Albert z żoną swoją nie jest szczęśliwym, że Karolina więcej ma przywiązania do niego, niż do Alberta, że rozstrój ztąd w stosunku wynikający, coraz większą

przepaść rozkopuje pomiędzy trzema osobami, które pierwiej tak pięknie żyć ze sobą umiały. Wiemy z listów Goethego do Kestnerów, w późnych już latach pisanych, że małżeństwo nie przeszkadzało szczerzej przyjaźni, związanej w Wetzlarze. Zupełnie już do poezji należą liczne epizody wplecione do romansu. Goethe złożył hołd uznania „Pieśniom Ossiana”, które w owych czasach silne zajęcie wzbudzały w kręgach literackich. Przed śmiercią melancholijny Werther czyta wyjątki z Ossiana, który tym sposobem dysponuje go na śmierć. Kompozycja jest tutaj podziwienia godną. Jako odpowiednik do nieszczęśliwej miłości Werthera posłużyć może obłąkanie człowieka, którego nieszczęśliwa również miłość do Karoliny przyprowadziła do szaleństwa. Jest nim Henryk, pisarz u ojca bohaterki poematu. W burzliwym Listopadzie szuka on kwiatów. Burza w naturze, zadawniona namietność w sercu nieszczęśliwego — utwierdza Werthera w mniemaniu, że świat ten jest ciągle przeżuwanym potworem. „Dzisiaj! o losie! o ludzkości!” — czytamy na początku listu, w którym spowiada się rozpaczliwie miotane serce. Wszystko te na pozór drobne szczegóły nie są wzięte z rzeczywistości, ale wprost z pocucia estetycznego.

II.

O stosunku swoim do natury, stosunku, który w okolicach Wetzlaru rozwinął się nader korzystnie, opowiada Goethe. „Owo postanowienie woli, aby wewnętrznej swej naturze według jej właściwości zostawić swobodne pole, a zewnętrznej według jej przymiotów kazać oddziaływać na nią — pobudziło mnie do dziwnego tematu, według którego zmyśliłem i napisałem *Werthera*. Staralem się wewnętrznie być wolnym od wszystkiego, coby mi dolegało; zewnętrzne zaś rzeczy ze śmiałością oglądać i wszystkim istotom w porównaniu z człowiekiem tak nisko stojącym, iżby mogły być tylko zrozumiałe każda w swoim rodzaju, dać na się działać. Przez to powstało dziwne pokrewieństwo z poszczególnymi przedmiotami natury i zupełna zgodność, łączność całością, tak, iż każda zmiana, tak miejsc i okolic, jakoteż pór dnia i roku — cokolwiek się zdarzyło — bardzo na mnie silnie wpływało”.

Stosunek człowieka do natury odzwierciedla się w uosobieniu Werthera, który z naturą pozostaje w ścisłej zażyłości. Natura jest niejako środkiem, za pomocą którego w każdej chwili stan duchowy bohatera się przedstawia. U Mickiewicza natura nie stoi na miejscu honorowym w takim stopniu, jak u Werthera; pomimo to nie ulega wątpliwości, iż to, co znajdujemy w *Dziadach*, jest w znacznej części wzięte z życia Mickiewicza.

„Tam z dziećmi-m na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek;
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca;
Po błoniach z studentami graliśmy w zajęcia.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przede dniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem...”

Nie jest to prosty przypadek, że Gustaw wybiera sobie Homera, by się oddawać jego kultowi. Człowiek zupełnie uczuciowy chce żyć w stosunkach idyllicznych, patryarchalnych. Od burzy, która wre w jego sercu, ucieka w piękne zacisza, w samotność. Ten motyw ma już w młodości Gustawa swe uzasadnienie. Burza ta jest tylko duchową spowiedzią Mickiewicza. Jak Goethe uczuł i Mickiewicz w głębiach swych spokój po tej generalnej spowiedzi. Miłość pierwsza, potężna, którą cieszy się terazniejszością, a o jutrze nie myśli, wstrząsnęła całą istotą poety ko chanka. Była ona duchową potrzebą, nie zaś prostym tylko marzycielstwem; była pięknym powinowactwem z wyboru — dwóch pięknych dusz, a każdy z łatwością przekonać się o tem może, kto odczytał ze zrozumieniem czwartą część *Dziadów*.

Stosunek poety do Maryli i Puttkamera jest takisam, jak Goethego do Karoliny i Kestnera. Dr. Chmielowski zebrał w pięknym swem stu-

dyum: *Kobiety Mickiewicza, Stowackiego i Krasińskiego*, te rysy Maryli, które znalazły swoje kopię w poezjach Mickiewicza. Nie możemy tutaj dokładnie oznaczyć granicy między rzeczywistością a poezją; w każdym razie musiała to być postać szlachetna, której kultowi Mickiewicz z takim entuzjazmem się oddał. Jeszcze w r. 1829, mógł poeta tak dokładnie uprzytomnić sobie wewnętrzne walki, które odbyły się w jego sercu. W wierszach poety drży tu gorące uczucie człowieka:

„Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę.
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam:
I postać twoję widzieć — lękam się i żądam.”

Pomimo tej, z życia samego tryskającej, poezji znaczna część „*Dziadów*”, objawia wpływ literatury, która wiała świeżą krew i nowe życie do naszych płodów literackich. Pierś poety nurtowały zagadnienia, które tak wielu umysłem ówczesnym spokoju nie dawały. Z poetycką giętkością pochwycił Mickiewicz tego ducha, który ogół zagrzewał i pokrzepiał. Poezja jego pozostawała nietylko, jakby w obopólnym porozumieniu, zawsze zgodną z duchem czasu, ale wyprzedzała ten ruch, który był w głowach bardzo wielu mężów przygotowanym. To właśnie czyni Mickiewicza godnym następcą Goethego, który zawsze stał w samym środku panujących sił i żywiołów wieku. Wrażenie *Dziadów* było właśnie dlatego tak potężnym, iż przypadły one na czas, w którym większość ludzi żądała innej strawy, lepszej od przysmaków kuchni pseudoklasyk. Takiesam korzystne warunki miał i Werther. W *Dichtung und Wahrheit* spowiada się Goethe z najszybszych swych dążeń; o warunkach i wpływie Werthera powiada. „Wrażenie tej książeczki (Werthera) było tak wielkie, a nawet ogromne, głównie dlatego, że właśnie przypadła ona na odpowiednią chwilę: gdyż, jak potrzeba tylko małego podpalacza, ażeby potężną minę w górę wysadzić, tak i eksplozja, która się wydarzyła w publiczności, była dlatego tak potężną, iż świat młody sam się podkopał, a wstrząśnienie dlatego tak wielkie, ponieważ każdy już gotowy, ze swemi przesadzonemi żądaniami, niezaspokojonemi życzeniami i urojonem cierpieniem przyszedł do wybuchu”. Mickiewicz przejął się tak dalece zagadnieniami poruszonymi w *Wertherze*, iż w życiu nawet pozostawił ślady tej duchowej burzy, która przeszła przez całą Europę. Wiemy, iż nosił się z myślami samobójczymi, Goethe zaś opowiada, jak dalece życie jego z literaturą stało w związku, jak chętnie odważyłby się na akt samobójstwa. Tensam proces fenomenalny, który odbył się w Goethym, w Mickiewiczu też pozostawił wyraźne ślady.

Mamy dokładne sprawozdanie z ówczesnego stanu duchowego naszego wieszca. „Unikał on wtemczas wszelkiego towarzysztwa, nawet najbliższych kolegów i przyjaciół, a im bardziej staraliśmy się go poznawać, tem uporczywiej oddawał się namietności i w niej knował, jak ię zdaje, rozpaczliwy zamiar samobójstwa”. Było to rzeczą bardzo naturalną, iż Mickiewicz pozostawał w stanie anormalnym; namietne walki tylko co stoczone — pozostawiły w sercu poety rany, które tak prędko zagoić się nie mogły; z drugiej strony atmosfera ówczesna była tego rodzaju, iż samobójstwo uważano za rodzaj duchowego wyzwolenia.

Czytanie poetów pesymistycznych angielskich pomiędzy którymi ważne miejsce zajmowali Sterne Goldsmith, a przedewszystkiem fałszywy Ossian, podsycało melancholię Goethego. Potrzeba tu jeszcze wciągnąć w rachubę wpływ Shakespeare’a. Każdy młodzieniec zwracający się wewnątrz siebie pod działaniem uczucia mógł cierpieć Hamleta uznając za swoje własne. Prąd taki wzmocniło jeszcze zjawienie się Werthera. Podobne czynniki działały i w naszej literaturze. Hamlet pociągał ku sobie młodego Goethego i torował drogę poetyckiemu jego natchnie-

niu; dla Mickiewicza znowu w odpowiednich latach młodości drogowskazami były typy Werthera i licznych nieszczęśliwców Byrona. Obaj poeci, Goethe i Byron, zdążają w jednym kierunku. Postacie Anglika są niejako dalszemi ciągami dwóch potężnych kreacji Goethego: Werthera i Fausta.

Obok wpływu literackiego przyczynił się także do pesymizmu Goethego brak ważniejszych czynów w życiu zewnętrznym narodu. Rzeczywistość nie zdołała zająć poety, życie obywatelskie było bez treści; i Werther też wpadł, jak burza z grzmotami i błyskawicami, w tę duszną atmosferę, ponieważ „wnętrze chorej młodzieńczej imaginacji publicznie i dokładnie przedstawił”.

Kiedy Mickiewicz poznał Marylę, znajdował się w takim samym stanie ducha. Literatura europejska w owych czasach dążyła do zupełnej wolności w życiu i w poezji, była dumna z tego, iż uważać mogła swój kodex zanowy kodex obyczajów. Nie było to zresztą rzeczą przypadkową, że plody młodego Mickiewicza stwierdzają na sobie doznany wpływ Fausta i Werthera. Tak Faust jak i Werther wypowiadają to, co długo wrzało w piersiach ludzi. W obu poetach znajdujemy niejako *in nuce* wszystkie te zagadnienia, które później rozwinęły się i wrosły w historię literatury. Mówię tu przedewszystkiem o postaciach typowych o Gustawie Mickiewiczu, o Wacławie Garczyńskim i Edmundzie Witwickim. Kierunek ten zainaugurował Mickiewicz, jego wpływ był dość potężnym, by skupić koło siebie całe grono poetów, działających wprost w jego duchu i imieniu. To też właśnie dlatego podobnym jest do Goethego. Dwaj ci mężowie tworzą ze wszystkiego pełną formę, czy-to czerpią z własnej osoby, czy też z otaczającego ich świata. Pseudoklasyk literatura francuska wystawiała bohaterów, którzy walczyli ze światem zewnętrznym, ale wewnętrznych walk człowieka nie znali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1886 r.

Za kilka dni nowy naczelny prezes, hr. Zedlitz-Trütschler, ma stanąć zarazem na czele naszej prowincyi i u steru kommisji kolonizacyjnej. Zajmując dotąd najwyższe stanowisko w Opolu wśród polskiego Szlaku, złożył on dowody pasujące go na gorliwego i zręcznego germanizatora. Sam już fakt przyjęcia naczelnictwa regencji poznańskiej, w obecnych warunkach, nie bardzo za nim, przemawia. Podobno jednak wahał się zrazu, aż w końcu zniewolił go do tego kroku szwagier, minister Puttkamer, którego uczucia i pojęcia zarysowały się drastycznie w ciągu rozpraw antypolskich z ostatniej kadencji sejmowej. Zkądinąd hr. Zedlitz ma być w gruncie przeciwnym obecnej formie zaostrożnej germanizacji, i sprzeciwiał się skrajnym prądom ucisku zbyt, zdaniem jego, gwałtownego, aby trwał wydać owoce. Obejściem się i tradycją rodzową wytworny *gentleman*, nowy naczelny prezes słowiańskiego jest pochodzenia, jak cały, licznie rozrodzony dom Zedlitzów, niegdyś ginący w obronie zagrożonych zalewem niemieczyny dzierżaw słowiańskich. *Sunt lacrymae rerum...*

Do kommisji kolonizacyjnej, której nadano charakter jak najbardziej dyskrecyjony, weszło kilku właścicieli ziemskich z Poznańskiego, dobrokiewiczów wsławionych nienawiścią ku wszystkiemu, co miejscowe, co niespecyficznie niemieckie. Wszelako zadanie kommisji łatwym nie będzie: jakże szeroko otwarta droga do podejrzenia o złą gospodarkę, o nadużycie lub złe użycie funduszy tak hojnie uchwalonych! Nie każda włość nadaje się do celów kolonizacyjnych, wreszcie i o kolonistów nie łatwo. Ponieważ chodzi i o sprostowanie wschodnich prowincyi, ponieważ prasa rządowa wcale się nie tai z głoszeniem,

iz katolicy n emieccy łatwo polszczęją w zetknięciu z żywiołem miejscowym: zdaje się więc, iż z góry wyłączeni będą z dobrodziejstwa przystępnego osadnictwa. Natomiast koloniści przeważnie mają być sprowadzani ze Szlezewgu i Holstynu, prowincyi uważanych za najsilniejsze warownie germańskiego ducha. Tam też od jesieni zapędzani być mają poznajscy rekruci, dotąd przeważnie do V-go korpusu włączani, a których obecnie dla tem łatwiejszego zgermanizowania pojedynczo rozpraszać zamierzają po wszystkich pułkach olbrzymiej armii. Trzechlecie przymusowej służby wojskowej dopełnić ma dzieła rozpoczętego przez szkołę...

Każdy gwałtpociąga za sobą demoralizacyę; cała ta sprawa kolonizacyjna uwydatnia bolesnie niekczemności ludzkie, ito niestety, nie z samej tylko niemieckiej strony. Wśród niemal ogólnej ruiny znaleźli się polscy właściciele, którzy nie sromali się proponować rządowi własnej ojcowizny na osadnictwo niemieckie. Znalazł się i taki, który bez potrzeby, z kaprysu, dlatego tylko, że tu źle ismutno, tę właśnie ciężką obrał chwilę na to, aby wydać znaczne, dziedziczne włości na łup niemieckiego nabywcy, coś nakształt szczura opuszczającego gmach, który grozi upadkiem i pożogą. Smutne to wyjątki, ale, szczęściem, wyjątki tylko.

W ogóle duch jest doskonały, usposobienie hartowne, gotowość do poświęceń niemała. Ruina powszechna udziałem taksamo niemieckich jak i polskich właścicieli. Łatwość kredytu z lat ostatnich, poprzedzająca obecny przełom rolniczy, bodaj głównym powodem upadku majątków ziemskich. Niemcy hurmem nadstawiają się rządowi, aby w jakikolwiek sposób zbyć się kosztownego fantu i uciążliwej roli właściciela ziemskiego. Oczywiście rząd się nie kwapi z odkupywaniem gruntu już przez żywioł napływowy zdobytego. Ztąd wyradzają się nieraz szczególne kombinacye. Pewien nasz znajomy, Polak, otrzymuje np. list błagalny od swego sąsiada Niemca, znajdującego się w największych opałach majątkowych z następną propozycyą: oto aby mu wystawił dowód rzekomego zamiaru kupienia jego wioski, bo rząd tylko w takim razie przychyli się do żądań i życzeń biednego Niemca jeśli ten wykaże, iż ma oferty od polskiego nabywcy. Czy to nie charakterystyczny rys obecnych naszych stosunków?

Wogóle właściciele niemieccy nie są bezwarunkowymi fanatykami rozpoczętej antypolskiej kampanii. Nie brak, oczywiście, zapalonych *Pollenfresserów*, ale przeciętna massa albo oburza się na obrane barbarzyńskie środki, albo jeszcze niedowierza ich skuteczności.

Wspominałem o ruinie materyalnej, która toruje drogę, prostuje ścieżki, równa góry i doliny przed mającym nastać nowym porządkiem rzeczy. Z większym zasobem środków finansowych, z pewnością podstawą gruntu, oczywiście, pogodniej patrzylibyśmy w przyszłość. A tu na dobitkę urodzaj lichej, żniwa słotne, plon nieobiecujący, ceny coraz niższe. Nie wiedzieć jakiej już chyć się siły przemysłowej: zboże bez ceny, wełna, niegdyś za centnar płacona przeszło po 100 talarów, dziś na 100 marek spadła; kto może pozbywa się owiec, których chów w księstwie zniżył się do szczupłej nader liczby. Próbowano mlecznych spekulacyi, zakładano centryfugi. Cóż kiedy masło nie odchodzi? Zawsze i wszędzie, w krótkim nader czasie następuje hyperprodukcya. On krowa gorączka sprowadziła taki nadmiar fabryk, iż dziś, zdaniem sławnego francuskiego ekonomisty, dość już po targach portowych zalegać krow, aby morze samo osłodzić. Zewsząd też widać zamykające się fabryki, młyny parowe i t. d., gorzelniom zaś ostatnie lata bodaj śmiertelny cios zadały.

Zagroźeni dwustronnie, materyalnym przełomem i politycznym uciskiem, nie dziw, iż szukamy dróg wyjścia i środków ochrony. Podnoszą się tedy powołane i niepowołane głosy z mniej lub więcej praktycznymi projektami zaradzenia złemu. Jedni wysuwają naprzód konieczność banków, towarzystw akcyjnych, spółek, spóładek i t. p. Drudzy złudne opierają nadzieje na interwencyi polskich magnatów, posiadających

znaczne zagranicą kapitały. Rozsądniejsi powtarzają, iż nad wszystkie głośnie sprawy i rozprawy, najlepszym dziś programmatem i hasłem, to praca osobista, ład i oszczędność domowa, słowem: indywidualne usiłowanie i poświęcenie.

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, A całość sama się złoży.

I oto, jakby, na jawny przykład, co zdziałać może praca i dobra wola jednego człowieka, rozwinęło się przed nami świeżo zasłużone pasmo dni takiego pracownika i bojownika, jakich nam dziś trzeba, a rozwinęło, niestety, z okazji śmierci i niepowetowanej straty, jaką nasza dzielnica poniosła. Urodzony w r. 1820 ś. p. Ignacy Łyskowski, na 66 lat życia, 40 przepędził w jarzmie poselskim. Na trzy tygodnie przed zgonem jeszcze był w Berlinie i uczestniczył w czynnościach koła, w którym prezydował. Młodość jego przypadła na czas takiej, jak dziś, rozpędzonej germanizacyi. Za czasów gimnazyalnych nie umiał nawet popolsku z rodzicami korrespondować, listy do matki nawet pisywał po niemiecku. Przez czas dłuższy do czytania autorów polskich słownik mu był niezbędnym. Własną pracą odzyskał niebawem znajomość ojczystego języka, a przyswajaniem pamięciowem całych ustępów poetów narodowych, wywycizylił się napowrót w mowie rodzinnej. I oto tensam człowiek, który, jako student ani pisać ani mówić prawie popolsku nie umiał, później do licznych zasług miał dodać i tę najrzowniejszą, iż dla ludu sam ułożył elementarz, który się rozszedł w siedmdziesięciu kilku tysiącach egzemplarzy, pośród kresowych mieszkańców starych Prus i Warmii. Czynnym był on bardzo, przyłożył rękę do zakładania Towarzystwa pomocy naukowej, do rozwoju kółek rolniczych w Prusach Zachodnich, piastował urząd prezesa *toruńskiego towarzystwa naukowego*. Już w r. 1848 dał się poznać we Frankfurcie niemieckiemu przedwstępnemu parlamentowi. Życie atoli publiczne nie wiodło go bynajmniej do zaniedbywania piastowanego rzemiosła. Stanowił rolniczą powagę, a dowodem jego pracy i zabiegliwości jest fakt, że, objawwszy dziedziczny majątek z udziałem zaledwie 6,000 talarów, nie tylko spłacił liczne rodzeństwo, ale nadto hojnie własne uposażył dziatki i w kwitnącym stanie wieś swoją zostawił. Gdyby więcej takich mieć Łyskowskich, odważniej przyszedłoby nam czekać jutra. W nim upatrywać można uosobienie pioniera kresowego, jakichby nam trzeba. Wzrok bowiem nasz nie rzadko z podziwem zwraca się ku tym pozornie zniemczonym stronom, gdzie tak zdumiewająca zachowuje się żywotność. Uspioną rzekomo Warmią, zdobyła się i na gazetkę polską, wychodzącą w Olsztynie i na petycyę o równouprawnienie polskiego w szkołach języka, opatrzoną tysiącami podpisów, które wzbudziły jakieś niemiłe zdziwienie w komisji sejmowej, ale bez uwzględnienia odrzuconemi zostały, jak się tego było można spodziewać. A jednak żądania sformułowane w owych petycyach były tak skromne, tak nieznaczne! Owym Warmiakom, ojcom rodzin, szło tylko o zapobieżenie potworu, anormalnym skutkom nieprawidłowego nauczania, które wśród warmińskiego ludu do tego już doprowadziło, iż młodzian pisać umie i czytać w języku, którego zgoła nie rozumie, popolsku zaś rozmawia i myśli, ale ani pisać, ani czytać nie potrafi.

Wspominałem wyżej demoralizacyę, która iść zwykła w parze z gwałtem. Oto jeszcze fakt charakterystyczny do dziejów pruskiego szkolnictwa w XIX wieku. Język polski prawnie z szkolnego wykładu został wprawdzie usunięty, nikomu atoli nie śniło się dotąd wdziierać w potoczne rozmowy. Znalazł się jednak obecnie spory zastęp nauczycielskich karyerowiczów, którym nie wystarczyły karby niemieckiej nauki. Jeli oni zakazywać dziatwie używania mowy ojczystej w murach szkoły; zalecać, aby i w domu ćwiczyli się w urzędowym języku; jeden nawet posunął żarliwość kulturnika aż do urządzania *in anima vili* sieci szpiegów i donosicieli. Niech tylko które dziecko odezwało się popolsku do towarzysza, ten ostatni miał rozkaz wy-

dania sprawy, i obietnicę nagrody 1-go lub 2-cho fenygów. Przestępca wtedy odbierał policzek, a donosiciel zaplatę pięknego rzemiosła. Sywały się tedy na przemian policzki i fenygi, a nauczyciel szkoły, któremu się należy inicjatywa tego nowego systematu pedagogii, radował się ze spodziewanych skutków tak pięknego wynalazku, dążącego widocznie do zbydłecenia dziatwy szkolnej.

Zamknięcie zakładu kórnickiego hr. Zamojskiej wykołaja do stu pracowników niewiedzących z najlepszych torów praktycznego wychowania. Zmysłu nie wiele się mówiło o tym zakładzie, który rad zachowywał swe domowe, ukryte i skromne cechy. Rozszerzając się liczebnie, nie zatracił takiego charakteru; urządzenie wewnętrzne było chędogie, ale ubogie, aby do żadnego zbytku prostych nie wzwyczajając dziewcząt. Była to przede wszystkim szkoła dobrych sług, dążąca do nadania polskim służącym owej uniwersalności, zdolności i zręczności, którą nieraz zagranicą podziwiamy, a nawet jej zazdrościmy. U nas dotąd poszczególne czynności rozpadały się na tyle osób, a najwymowniejszym rysem jest ten, że do palenia i gotowania kawy osobny wytworzono urząd kawiarski! Na ciężkie obecne czas każdy zmuszonym tryb domowy zmienić, liczbę służby ograniczyć. Ztąd łatwo odgadnąć, jakie korzyści płynęły i płynąć mogły z zakładu ćwiczącego w okresie sześciolatnim każdą dziewczynę na świadomą wszystkich gałęzi zajęć domowych sługę. Niestety! nie nie zostało z tego pracowitego ula, z kąd czynne pszczołki miały się rozbiedz, aby nam ułatwić konieczną reformę domowych stosunków i ustroju. Poprzednio zaś sama hr. Zamojaska, wydalona jesienią, jako obywatelka francuska, gdy na dni parę dla załatwienia interesów wróciła do siebie, i zameldowała swój przelotny pobyt władzom miejscowym, natychmiast do powiatowego została wtrącona więzienia i tam przez 24 godzin trzymana o głodzie, bez żadnego zgoła pożywienia, aby następnie do granicy zostać odstawioną. Szczegółne są to, zaiste, ilustracye do zmienianej obecnie cywilizacyjnej roli i posłannictwa pruskiej kultury!

Rozwiązanie dowolne i doraźne polskich towarzystw naukowych istniejących przy uniwersytetach niemieckich można dołączyć do poprzedniej rubryki. Żadne z tych towarzystw nie miało nawet cienia politycznego charakteru; zamykały się wszystkie w obrębie czysto naukowych odczytów, zebrań i zabiegów. Przetrwały bezpiecznie burzliwe lata z połowy bieżącego stulecia, kiedy tak łatwo było o polityczne zbrocenia lub przyczepkę. Istniejące w Berlinie polskie studenckie towarzystwo za dwa lata obchodzić miało 50-letni jubileusz swego założenia. Wrocławskie już pół wieku liczyło istnienia; zawsze którego z profesorów wszechniacy obierało sobie za przewodnika, a w liczbie założycieli onego był uczony professor Purkinje. Darmo senat uniwersytecki zaprotestował przeciw arbitralnemu rozwiązaniu znajdującego się pod jego opieką związku. Nie cofnięto nakazu, bynajmniej się o umotywowanie nie troszcząc.

W miejsce zmarłego wice prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskich, D. ra Mateckiego, obranym został badacz i znawca Czasów Saskich, znany historyk Kazimierz Jarochoński; w prezesie tedy, hr. Cieszkowskim mamy uosobienie prądu filozoficznego, obok zamilowania nauk ścisłych; w wice prezesie dziejowy kierunek się uwidoczni, w sekretarzu zaś, hr. Wawrzyńcu Benzelstjerna-Engeström, estetyczno-artystyczne przemagają skłonności. Trudno tedy o lepszy skład zarządu, mającego czuwać nad ruchem umysłowym i zbiorami stanowiącemi skarb najdroższy dzielnicy naszej.

Wyszła świeżo statystyka sądowa rzucająca charakterystyczne światło na stosunki wewnętrzne państwa. Pod względem przekroczeń przeciw moralności Wielkopolska na ostatniem znajduje się miejscu, najmniej tej kategorii dostarczając przestępców. Natomiast Alzacya, Lotaryngia, Prusy Zachodnie, i Poznańskie najwięcej liczą przestępców praw wojskowych, zbiegów, którzy albo się nie stawili do poboru, albo opuścili

sztandary. Niestety! co do liczby krzywoprzysięstw, prowincje wschodnie z ludnością przeważnie polską, już w trzecim stają rzędzie statystycznym: dowód to zamęcenia pojęć w szkole z wykładem niemieckim, oraz wadliwości sądownictwa, gdzie sprawy toczą się w niezrozumiałym dla świadków i dla oskarżonych języku.

O zmysłach i ich wrażeniach.

Słótko wstępne. — Wrażliwość protoplazmy. — Ameba. — Czuć i ruch. — Zmysł dotyku, smaku, powonienia, słuchu, wzroku. — O prawdziwości wrażeń zmysłowych.

(Dokończenie)

Błona bębenkowa jest w ten sposób zbudowaną, że odpowiada drganiom wszystkich dźwięków i przy tem zaopatrzona jest w tłumiki, które jej samej dźwięczyć nie pozwalają; w przeciwnym bowiem razie dźwięk spowodowany jej własnym drganiem, maskowałby inne dźwięki, którym pośredniczyć jest jej zadaniem wyłącznem. Poza błoną bębenkową znajduje się przestrzeń, w której pomieszczają się kosteczki uszne, zwane młoteczką, kowadełkiem i strzemiączkiem od podobieństwa do tych przedmiotów; otóż ta część stanowi ucho średnie. Zapomocą kosteczek, które są ruchome drgania błony bębenkowej udziela się płynowi, w którym mieszczą się zakończenia nerwów słuchowych, a które zowią się uchem wewnętrznym albo labiryntem.

Labirynt składa się z 3-ech części: z przedsionka, kanałów półkolistych i ślimaka. Wszystkie te części wypełnione są płynem i w nich pomieszcza się prócz zakończeń nerwowych tak zwany piasek słuchowy czyli otolity.

Przekroczylibyśmy owiele granice niniejszej pracy gdybyśmy chcieli szczegółowo każdą z tych części opisywać pod względem budowy anatomicznej i sposobu funkcyonowania, i z tego powodu, zmuszeni jesteśmy pominąć takowe, co zresztą nie będzie przeszkodą w zrozumieniu procesu słyszenia; kilka słów jednakże poświęcić wypadnie tej części ślimaka, która zowie się harfą słuchową. Składa się ona z przeszło trzech tysięcy strun, z których każda nastrojona jest na inny ton. Są to laseczki różnej długości a na każdej z nich umieszczony jest rodzaj łuku; pomiędzy zaś ramionami tego łuku przechodzi włókno nerwowe zakończone włoskami.

Ażeby zrozumieć: w jaki sposób na dźwięk ze świata zewnętrznego odtwarza się w naszym uchu podobny dźwięk — przypomnieć sobie należy zjawisko znane w naturze pod nazwą współdźwięku; jest to prawo fizyczne wszystkim dobrze znane. Jeżeli dwa ciała posiadające jednakowe warunki fizyczne wprawiane będą w ruch, to wydawać będą jednakową liczbę drgań, czyli, mówiąc językiem muzyków, wydawać będą jeden i tensam, albo przynajmniej bardzo podobny, ton. Grającym na fortepianie lub na innych instrumentach wiadomo, że przy uderzeniu pewnego klawisza, współdźwięczy profita na lichtarzu, szyba, lub inny przedmiot znajdujący się w pokoju. Dzieje się to dlatego, że są one nastrojone na tenże sam ton co i odpowiedni klawisz i dlatego współdrgają t. j. wydają podobny dźwięk. Zupełnie to samo zjawisko dzieje się w naszym uchu. Dźwięk wywołany w świecie zewnętrznym w postaci falowania powietrza uderza o naszą błonę bębenkową, stąd za pomocą kosteczek udziela się płynowi zawartemu w uchu wewnętrznym i w odpowiedniej laseczce arfy słuchowej, nastrojonej na tensam ton, wywołuje drgania podobne, które za pomocą włókien nerwowych przechodzą do mózgu jako świadomość dźwięku.

Zanim przystąpimy do opisu zmysłu wzroku i jego wrażeń, wypadła nam słów kilka powiedzieć o tak zwanym eterze. Jestto materyja zapełniająca przestrzeń pomiędzy ciałami niebieskimi, materyja przenikająca naszą ziemię, nasze ciało w najsubtelniejszych atomach, materyja nie-

ważka, której naszymi zmysłami ocenić bezpośrednio nie jesteśmy w stanie, a która staje się dla nas zrozumiałą skutkiem pewnych zjawisk, którym służy za przewodnika. Przy wszelkiego rodzaju processach chemicznych następuje drganie eteru, znajdującego się we Wszechświecie, a ponieważ każdemu processowi chemicznemu towarzyszy wywiązywanie się ciepła lub światła, albo też jednocześnie oba te zjawiska, dlatego eter stanowi przewodnik tych dwóch zjawisk, tak jak powietrze atmosferyczne stanowi przewodnik dla fal słuchowych.

Drganie tych cząsteczek eteru wywołuje w zmysłach naszych wrażenie ciepła i światła stosownie do tego, czy ruch wywołany został przez ciało ciepłe, czy też świejące.

Siła drgania eteru zależna jest od stopnia ciepła lub światła ciała, z którego ono bierze początek. Taksamo tedy jak silniejsze lub słabsze drganie przedmiotów sprężystych wydaje rozmaite tony, które odróżniamy zapomocą ucha, taksamo silniejsze lub słabsze drganie eteru wywołuje w organie naszego zmysłu widzenia t. j. w oku rozliczne barwy.

Otóż drganie to eteru, działającego na nasz cały organizm, nie wywoływałoby wrażenia widzenia, gdybyśmy nie byli zaopatrzeni w tak cudowny organ, jakim jest oko. Nie podlega wątpliwości, że światło wywiera wpływ na protoplazmę; dowodem tego rośliny, które pod jego wpływem szybciej się rozwijają; niewątpliwem jest również działanie światła na nasz cały organizm, protoplazma jednak nerwowa będąc przykryta naskórkami nie jest w stanie odbierać wrażeń świetlnych. Oko nasze jest w ten sposób zbudowane, że przepuszcza przez przezroczystą błonę, zwaną rogówką — snopy światła, które przychodzą w bezpośrednie zetknięcie z protoplazmą mającą własność reagowania na światło jak to poniżej zobaczymy. Nie dosyć jednakże na tem, ażeby proces widzenia odbywał się tak jak się odbywa; potrzeba koniecznie wielką ilość promieni światła zebrać na małej przestrzeni, i temu warunkowi budowa oka naszego w najzupełności odpowiada, będąc zaopatrzoną w tak zwaną soczewkę. Soczewki, t. j. ciała przezroczyste o dwóch wypukłych powierzchniach, mają własność skupiania rozproszonych promieni światła, przyczem potęguje się w wysokim stopniu i ciepło. Komuż nie zdarzyło się zapomocą podobnej szklanej soczewki, w czasie letniego światła, zebrać promieni słonecznych na kawałku papieru i nawet zapalić go? Punkt, w którym łączą się owe zebrane zapomocą soczewki promienie światła, zowie się ogniskiem, i w takim-to właśnie ognisku, mieszczą się nerwowe zakończenia elementów czucio-wzrokowych. Soczewka oka zaś jest w ten sposób urządzoną, że za pomocą aparatu mięśniowego, może w każdej chwili zmienić swą wypukłość i dlatego promienie światła z jakiegobądź oddalenia padając na nią, zawsze przenoszone są na zakończenia nerwowe. Własność ta nazywa się akkomodacją.

Na dnie oka naszego, w odległości ogniskowej soczewki, która to odległość za pomocą akkomodacji bywa regulowaną, pomieszcza się tak zwana siatkówka, czyli aparat nerwowy oka. Składa się ona z elementów ciałek czucio-wzrokowych i nitek nerwowych, które są zakończeniami nerwu wzrokowego i z tak nazwanej purpury wzrokowej, która w sprawie widzenia bardzo ważną rolę odgrywa.

Światło, które bierze swój początek w processach chemicznych, ma jednocześnie własność wywoływania tych processów, t. j. wywołuje ruch atomów.

Wypadła dla dokładniejszego zrozumienia sprawy widzenia zwrócić się do fotografii. Wiadomo, że polega ona na zmienieniu barwy jodku srebra, lub też pod względem wrażliwości na światło podobnych mu ciał. Jeżeli tedy pokryjemy taflę szklaną jodkiem srebra, pomieszcimy ją w ciemnej szafce (obscura camera) i puscimy przez niewielki otwór światło odbite od pewnego przedmiotu to na tafli pozostanie obraz takowego. Otóż w oku odbywa się coś bardzo podobnego do fotografii z tą różnicą, że rolę jodku srebra odgrywa w nim wyżej wspomniana purpura,

Że tak jest w samej rzeczy wykazali fizjologowie zapomocą doświadczeń na królikach. Jeżeli w ciemnym pokoju wpuszcimy przez otwór okiennicy snop światła, a królika umieścimy w ten sposób, aby oko jego było zwróconem do niego, a następnie bezpośrednio królika się zabije, to na siatkówce pokrytej purpurą zobaczymy jedno miejsce odbarwione kształtu otworu w okiennicy. Jest to dowód niezbity, że promienie światła wywołały owo odbarwienie, przedstawiające się w postaci białej plamki i że przy takowym zaszedł proces chemiczny. Produkt rozkładu tego processu mają własność działania na protoplazmę ciałek wzrokowych, wchodzą z niemi w związek chemiczny taksamo, jak to widzieliśmy przy zmysle smaku i powonienia. Dodać jeszcze wypadła, że purpura owa bezustanku odtwarza się w oku, t. j. zużyta działaniem światła, zostaje zastąpiona nową, i że ta nie jest w oku jedyną substancją, lecz prawdopodobnie znajdują się jeszcze inne, gdyż w przeciwnym razie oko nie byłoby w stanie tylu barw rozróżniać.

Pozostaje jeszcze słów kilka o barwach.

Wiadomo z fizyki, że promienie słońca, wpuszczone do ciemnego pokoju przez pryzmat unieszczonego w okiennicy, rozczepiają się na białym ekranie na siedm barw, a mianowicie: na czerwoną, pomarańczową, żółtą, zieloną, niebieską, indygo i fioletową, i że barwy te zależne są od szybkości drgania eteru, które wzrasta stopniowo, idąc od barwy czerwonej do fioletowej.

Nie jest to klasyfikacja dokładna, gdyż można rozróżnić więcej barw w widmie słonecznym, niż powyższych siedm i odwrotnie, siedm tych barw składa się z mieszanych kolorów, zasadniczych bowiem barw jest tylko trzy: czerwona, zielona i fioletowa, z których zmieszania można wszystkie inne otrzymać. Zachodzi teraz pytanie: w jaki sposób ten świat nasz jest tak różnobarwnym, jeżeli potrzeba pryzmatu, aby światło słoneczne rozszczepić na barwy. Dzieje się to dla tego, że wszystkie ciała bez wyjątku posiadają własności albo przepuszczania promieni światła i takie są bezkolorowe jak np. szkło, inne znów odbijają wszystkie promienie i także są białemi jak porcelana; jeszcze inne przedmioty posiadają własności zupełnego chłonięcia światła i takie są koloru czarnego i w końcu inne ciała posiadają własność pochłonięcia niektórych barw a odbijają tylko jedną lub dwie i są tego koloru jakiego jest barwą odbita, jeżeli czerwona — czerwonego, jeżeli zielona — zielonego i t. p. Dzięki tej własności ciał świat jest tylokolorowym, a oko nasze w ten sposób cudownie zbudowane, że jest w stanie rozróżniać najsubtelniejsze odcienia kolorów, któremi przedmioty są zabarwione. Są jednakże oczy nienormalnie zbudowane, których siatkówka jest wrażliwą tylko na pewne barwy jest to cierpienie, które od Daltona nazwano daltonizmem.

Jeszcze słótko o tak nazwanej prawdziwości wrażeń zmysłowych. Świat zewnętrzny, który przechodzi do naszej świadomości zapomocą naszych zmysłów i świat zewnętrzny, jaki egzystuje w rzeczywistości, — to zupełnie dwie odrębne rzeczy. Zmysły nasze, a raczej protoplazma naszych nerwów, jest w ten sposób zbudowaną, że ruch eteru wywołuje w niej wrażenie światła a falowanie powietrza dźwięki.

— Jakto?... więc różni niema koloru i zapachu? a głos Mierzwińskiego jest tylko falowaniem powietrza?

Tak jest, szanowna czytelniczko, w samej rzeczy i pomimo bogactwa naszych zmysłów, świat dla nas jest nieprzeniknioną zagadką. Przyczyna wywołująca w naszej protoplazmie nerwowej wrażenie od skutku jest tak różną, jak np. ukłucie igłą od bólu.

W zakończeniu nadmienić mi wypadła, że pragnący bliżej zapoznać się z tym przedmiotem, z prawdziwą korzyścią przeczytać może dziełko dra Nussbauma p. t. „O wrażeniach zmysłowych“, którem i my posilkowaliśmy się w pracy niniejszej.

Dr J. Starkman.

BYLE NIE PANNA.

(Dalszy ciąg).

Cały wieczór zeszedł bardzo przyjemnie i tem przyjemniej podług Maryana, że blondyneczka już się mniej wtrącała do rozmowy, przez co wydała mu się sympatyczniejszą. Siedzieli chwilę na balkonie, potem poszli na przechadzkę do ogrodu, podczas której Maryan korzystał z towarzystwa samej pani. Pokazało się z rozmowy, że znała świat i ludzi, spostrzeżenia swoje umiała przedstawiać w sposób bardzo dowcipny, a przytem niezmiernie była wesoła i rada się śmiała. Maryan coraz więcej oczarowany; już może z dziesięć razy sobie powtórzył, że takiej sympatycznej i powabnej kobiety nie spotkał jeszcze w życiu swoim i że czemu jej nie spotkał wtedy, kiedy była wolną?... Stefan tymczasem trzymał się zdaleka od nich, wraz z blondyneczką, która mu ciągle coś szeptała. Pani oglądała się niekiedy na nich i uśmiechała się, a Maryan nie mógł się wydziwić jej wyrozumiałości. Podług niego bowiem, należało chociaż spojrzeniem skarcić siostrę, aby dla samej przyzwoitości nie szeptała ciągle z jej mężem. Przedziwny takt w tej kobiecie! — myślał sobie, — jaki ten Stefan szczęśliwy!

Po wieczerzy, kiedy panie udały się na spacer, Maryan ze Stefanem zostali jeszcze z cygarami na balkonie.

— Mój Stefanie — zaczął Maryan — bardzo mi się tu wszystko podoba u ciebie, żona twoja zachwycająca, znaleźliście się, jak to mówią, w korcu maku.... Tylko wytłómacz mi, proszę, jedną rzecz w twojem postępowaniu.

— Cóż takiego? — spytał Stefan.

— Powiedz mi: dlaczego rozmawiając dziś ze mną w kancelaryi i opowiadając o swoich stosunkach domowych, nie wspomniałeś ani słówkiem, że bawi tu u was siostra żony!

— Ba! albożem głupi! — odparł Stefan. — Tyś mi powiedział, że ci się podoba każda, byle nie panna! Wiedząc o tym wstręcie twoim, jakżem miał ci mówić, że u nas jest panna w domu? Jeszczebyś mi umknął odrazu! Co prawda, o włos, żem się nie wygadał, ale się spostrzegł i zamilczałem umyślnie. Ot, powiem ci szczerze, miałem pewien projekcik, tylko, że ten utrapiony cieśla popsuł mi szyki. Wszak panienska ładna, rozsądna, sympatyczna: chciałem próbować; a nużbym wygrał konia z rządem!

— Chwała Bogu, żem uszedł obronną ręką! — zawołał Maryan — próba nie powiodłaby się z pewnością i jeszczebym popełnił jaką niegrzeczność!

— Więc tak bardzo ci się nie podoba... ta siostra mojej żony?

— Nie podoba mi się! Bo podług mnie, ani ona rozsądna, ani sympatyczna, i nawet nieładna.

— Nawet nieładna?... — powtórzył Stefan widocznie ubawiony.

— Rozumie się! Ale wybac mi moją szczerść, Stefanie kochany, może to moje zwykłe przywidzenie. Nie mogę jednak darować jej tego, że kiedyśmy w najlepsze gwarzyli z twoją panią, zjawiła się jak Piłat w „Credo“ i odrazu popsowała mi całą uciechę, a potem jeszcze co chwila wtrącała się do rozmowy!...

— Pomimo, żeś jej nie odpowiadał i żeś się nawet odwracał...

— Czyż tak?... A to ja może naprawdę byłem niegrzeczny?... —

— Ja nie wiem; to moje własne spostrzeżenie; może ona tego nie zauważyła.

— Ja też przypuszczam, że nie zauważyła, bo mogłaby się rozgniewać. Chociaż nie wielkie byłoby nieszczęście. Pogniewałaby się; no, to może by poszła sobie ku wielkiej mojej uciechu.

— Oj Maryanie, Maryanie! źle z tobą, źle naprawdę! Wszystko się u ciebie obraca koło tego jednego punktu: *byle nie panna!* Już teraz sam wątpię, czy wygram kiedy mój zakład!

II.

Nazajutrz rano, kiedy służący przyszedł się spytać: czy ma gościowi przynieść śniadanie do jego pokoju, Maryan, dowiedziawszy się, że pani już ubrana i przyszła właśnie do jadalnej sali, kazał odpowiedzieć, że sam będzie służyć natychmiast.

Po co się pozbawiać miłego towarzystwa i czemu nie uczestniczyć przy stole rodzinnym? — myślał sobie, ubierając się z pośpiechem. Oni nie cenią tych chwil, a dla mnie każda jest pełna uroku, bo się mimowoli oddaję złudzeniu, że mógłbym mieć coś podobnego u siebie w domu.

Ubrawszy się, poszedł do jadalnego pokoju, gdzie, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, znalazł przy samowarze nie samą panią, tylko jej siostrę. A ponieważ nie umiał ukrywać wrażeń swoich, więc mu twarz odrazu się przeciągnęła. Blondyneczka spostrzegła to i uśmiechnęła się.

— Widzę, że to pana dziwi, iż ja tu jestem zamiast siostry mojej — rzekła.

— Wistocie, czy to panie się mieniają przy gospodarstwie?...

— Wyrażamy się nawzajem — odparła blondynka. — Ale czy pan może ma jakie obawy, co do zręczności mojej w rozlewaniu kawy i herbaty?... — dodała figlarnie.

Maryan przypatrzył się jej teraz uważniej:

w istocie była milutka i miała wdzięczny uśmiech.

— A siostra pani?... — zagadnął. — Dlaczego jej tu niema?... Może jeszcze nie wstała?

— O, gdzież tam! Pan ją ma za takiego leniuszka! Była tu właśnie i dopiero co ją odwołali.

— Zapewne poszła syna kąpać — rzekł Stefan, wchodząc do pokoju i podając Maryanowi rękę na powitanie.

Blondynka spojrzała na niego i zesznurowawszy usta, czempredzej odwróciła się do bocznego stolika, sięgając po koszyk z sucharkami. Wtem wszedł służący.

— Proszę pani — rzekł — kucharz przyszedł po cukier i migdały do leguminy.

— Nie widzisz, że pani tu niema? — zawołał Stefan, rzucając mu znaczące spojrzenie.

Dokończenie nastąpi)

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości** przez Florencyą Marryat.

20 tomów rocznie za rub. sr. 6; — z przesyłką rub. sr. 7.

Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Z wydawnictwa tego wyszły w roku bieżącym:

Męczennicy, Część I-sza (Na wysokościach) powieść w 3-ch tomach,
Czarna perełka, powieść w 2-ch tomach,
Jesienią, powieść w 3-ch tomach,
Męczennicy, Część II-ga (Marynka) powieść, w 3-ch tomach,
Sieroce dole, powieść w 3-ch tomach,
Zygzyki, tom 1-szy.

W roku bieżącym wyjdzie jeszcze 5 tomów, czyli ogółem w 1886 roku tomów 20.

Prenumerata wynosi w Warszawie rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie Rs. 1 kop. 50
Z przesyłką pocztową rocznie rs. 7; półrocznie rs. 3 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 75.

Wydawnictwo to wychodzi od 1883 r., czyli czwarty rok; każdy zbiór roczny z lat 1883, 1884, i 1885 zawiera 20 tomów i sprzedaje się na tych samych warunkach jak obecnie wychodzący.

TREŚĆ. Kruk, poezya, przez Edgara Allana Poe, (przekład Miriam'a). — **Boży gniew**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Dziady** a „Werther“, (dalszy ciąg) przez Edwarda Schnobricha. — **Korrespondencya zagraniczna**, Poznań. — **O zmysłach i ich wrażeniach** (dokończenie), przez Dra J. Starkmana. — **Byle nie panna**, nowella, (dalszy ciąg), przez Stefanią Ulanowską.

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat. — **Przegląd mód**. — 42 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycyja stołu**.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Сентября 1886 года.